

Bajeczny pomysł.

Odkąd pamiętam, mieszkałam w wiosce St.-Auville pod Paryżem z dobrym Jakóbem i jego złą matką, którą nazywałam „babunią“.

Matka moja, tancerka z zawodu, podobno, wyjeżdżając ze swą trupą do Ameryki, oddała mnie na wychowanie do „babuni“ z solenną obietnicą przysyłania pieniędzy na moje utrzymanie i zabrania mnie z sobą, gdy podrosnę. Lata wszakże mijały za latami i żadna wieść nie doszła nigdy do małej francuskiej wioski, co się stało z piękną Heloizą Laporte w Ameryce. Ja jednak nie mogłam się uskarżać na swój los: babunia bowiem wychowywała mnie jak własne dziecko, Jakób zaś był dobrym i kochającym bratem dla mnie.

Wszystko się jednak zmieniło z chwila, kiedy się ożenił z Marjetta, andaluzyjską Hiszpanką, która od pierwszego wejrzenia uczuwszy nęchęć do mnie, uczyniła mi życie niemożne. Miałam wówczas czternaście lat i gdy babunia w parę miesięcy po ślubie Jakóba zamknęła oczy, przylgnęłam w rozpacz wargami do jej zimnej dłoni, błagając ją, by wzięła mnie ze sobą w zaświaty.

W jakiś czas potem z podsłuchanej rozmowy Marjetty z Jakóbem dowiedziałam się, że sprzedali dom i zamierzają przenieść się do Andaluzji.

— Dorę oddamy do przytulku — mówiła Marjetta.

— Za nic! — krzyknęłam, wyskakując z ukrycia.

— A więc idź na cztery wiatry! — cicho mówiła mi Marjetta.

Jakób nie wtrącił się. Wogóle od czasu ślubu z Marjetta był dziwnie milczący i nie miał własnego zdania. Upatrzywszy jednak odpowiednią chwilę, wsunął mi pieniądze do ręki, kładąc przytem palec na ustach.

Otrzymałam od poczciwca dwadzieścia pięć franków, wydały się dziewczynce, która nigdy nie miała grosza w kieszeni — majątkiem. Wnet myśl oddawna kłęcząca mi w głowie opanowała mnie wszechwładnie: udać się do Paryża, zostać tancerką i pojechać — na poszukiwania matki do Ameryki!

Pewnego ranka, o świcie, z dwudziestu pięciu frankami i wycinkiem starej gazety paryskiej, zawierającym ogłoszenie o szkole tańców, przyjmującej chłopców i dziewczęta na naukę, z małym zawiniątkiem pod pachą i sercem bijącym od szybkiego biegu znalazłam się na szosie, prowadzącej do Paryża.

W chwili, gdy rozmyślałam, co począć z sobą dalej, usłyszałam turkot zbliżającej się furmanki chłopskiej.

— Hallo! Hallo! — krzyknęłam, machając ręką do siedzącego na koźle wieśniaka — dokąd jedziecie?

— Do Paryża z jarzynami na targ — odparł, stając.

— Doskonale! Podwieziecie mnie, prawda? — zawołałam i wskoczywszy, nie czekając na pozwolenie do wozu, usiadłam na koźle obok chłopka.

Około południa stanęliśmy na bruku paryskim. Podziękowawszy kmiotkowi za przysługę, poszłam sama na poszukiwanie „Szkoły tańców“ Monsieur Cambrin'a. Po dwóch godzinach dopiero trafiłam do starego, odrapanego domu w małej uliczce jednej z podrzędnych dzielnic Paryża.

— Czego? — spytał stary, niedbale ubrany człowieczek z serwetą u szyi, otwierając mi drzwi.

— Ja... Ja... Monsieur — jękałam się — chcę zostać tancerką. Proszę mnie przyjąć do szkoły.

— Owszem — odparł człeczyna, spojrzawszy na mnie z zainteresowaniem — niech panienka przyjdzie jutro przed południem do mojej klasy, a zobaczymy jak tam z talentkiem. Honorarium zgóry. — Trzydzieści franków miesięcznie.

Otworzyła szeroko oczy.

— Nie masz panienka pieniędzy?

— Nnniee...

— Po co w takim razie zawraca mi głowę?... Przeszkodziła mi w obiedzie?... Czego tu chce?... Precz, pókim ciepłiwyl!... — wykrzykiwał krewki gospodarz, wypychając mnie bez ceremonii za drzwi.

Ja jednak miałam również gorący temperament, którego nie przywykłam trzymać na wodzy. Tupnąwszy więc nogą, rozpuściłam język:

— Ach ty! Stary niegodziwco! Chcesz mnie za drzwi wyrzucić? Mnie? Sierotę? Wstydz się, skapcze! Ja nie odejdę stąd! Musisz mnie nauczyć tańczyć, bo będziesz miał później pociechę ze mną!

Monsieur wpatrzył się we mnie z bezgranicznym zdumieniem i naraz twarz mu się rozjaśniła.

— Brawo! — zawołał — masz temperament! Podobaś mi się, moje dziecko! Margot! Margot! — dodał uchylając drzwi do kuchni — mamy nową uczennicę, z której spodziewam się zrobić prima ballerine z czasem. Zamieszka u nas i będzie ci pomagała w kuchni.

Zaczął się nowe życie dla mnie. W domu państwa Cambrin było bardzo dużo do roboty, z nimi bowiem mieszkało kilku starych krewnych i paru wychowanków. Korzystając jednak z każdej chwili wolnej, biegłam do „sali tańca“, tak szacownie zwanego, większego od innych pokoju, gdzie pod okiem „Monsieur“ ćwiczyłam się z zapalaniem w gimnastyce i tańcu, czemu przyglądał się z zainteresowaniem najstarszy syn państwa Cambrin, Franciszek, rekonwalescent po ciężkiej ranie wojennej; tancerz, jak i ojciec, z zawodu.

Po zawieszeniu broni, w oczekiwaniu rychłego pokoju w domu państwa Cambrin'ów zaczęto snuć plany na przyszłość. Pewnego dnia Monsieur Cambrin zwierzył

się z myślą wysłania wyszkolonej przez siebie trupy tancerkiej do Ameryki. Radość moja nie miała granic. Nareszcie! Tyleletnie marzenie moje przybierze kształty realne!

— Co?!... Dora do Ameryki?!... — zawołała pani Margot. — Nie! Nie! Ja nie mogę obejść się bez niej!

— Ależ, Margot... — zaczął Monsieur.

— Cicho bądź! — przerwała mu żona.

— Nie ma to uczyła ją prac i gotowaś. aby teraz, kiedy może mi być wreszcie pomocna, miała wyjeżdżać! Nic z tego nie będzie! Niema gadania!

Monsieur patrzył za wychodzącą bezradnie. Mnie lzy stanęły w oczach.

— Nie płacz, mała! — szepnął. — Ciężkość, a znajdę sposób na nią.

Trupa ówiożyła się gorączkowo. Przywódca jej miał być młody Franciszek Cambrin, z którym byłam w wielkiej przyjaźni. Oświadczył mi się nawet ze swą miłością kilkakrotnie i kradł całusy przy sposobności, ale odkąd powstał projekt wyjazdu do Ameryki, ja o niczym innym nie byłam w stanie myśleć narazie.

Na parę dni przed wyruszeniem trupy w drogę, podczas kiedy ćwiczyłam się w sali tańca pod uważnym okiem Monsieur Cambrin'a, poczciwy starszulek wybuchnął nagle śmiechem.

— Mam bajeczny pomysł! — szepnął mi do ucha, obejmując mnie w pół jednocześnie i przyciskając swoje wargi do moich ust.

Zaskoczona tym niebywałym wybuchem czułości, nie zdążyłam wyrwać się z uścisków mego nauczyciela, kiedy rozległ się gniewem drżący głos pani Cambrin:

— Ach, ty stary lubieżniku! W moim własnym domu!... Co za bezczelność! Zacałowywać dziewczuchę!...

— Ależ, Margot! — bronił się Monsieur wcale nie stropiony — talki ojcowski pocałunek...

— Ojcowski... Widzicie go?!... Nie jestem ślepa, Henryku Cambrin! Niech dziewczynka idzie precz z mego domu. Ani myślę ścierpieć ją nadal pod moim dachem! — krzyczała oburzona małżonka, poczem wyszła z „sali tańca“, trzaskając drzwiami.

— Nie było innego sposobu — tłumaczył mi się Monsieur, trzęsąc się ze śmiechu — możesz teraz pakować się, Doro! Jedziesz z trupą do Ameryki! A pamiętaj, nie zrobić mi wstydu!

W dwa tygodnie potem wyładowaliśmy w New Jorku, gdzie stanęłam z Franciszkiem Cambrin u ołtarza.

Trzy lata od owej chwili minęło.

Nie znalazłam w Ameryce matki mojej, niestety! Ale zrobiliśmy majątek z mężem i na przyszłe lato — hołdując modzie — wybieramy się z czysto amerykańską „Grupą“ trupą do Europy, ciesząc się zawczasu na myśl wjrzenia ojczyzny pomysłowego ojca Cambrin i jego zazdrosnej żony.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Cudzoziemcy w Łodzi.



W ubiegłym tygodniu bawiła w Łodzi wycieczka uczestników Międzynarodowego Kongresu Komunikacyjnego, obradującego w Warszawie. W skład wycieczki tej wchodziła przedstawicielstwo wszystkich państw europejskich oraz Japonii. Wycieczka zwiedziła i zapoznała się z wielkimi zakładami przemysłowymi, szpitalnictwem łódzkim, koloniami robotniczymi na Polesiu Konstantynowskim i parkami miejskimi. Na zdjęciu powyższym widzimy uczestników wycieczki z lekarzem szpitala im. Prezydenta Mościckiego, dr. Tomaszewiczem na czele.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.

TEATRALJA.

O ochronę twórczości polskiej. — „Obrona Częstochowy“ w .. Krakowie. — Drobiazgi teatralne.

Na łamach jednego z dzienników warszawskich potoczyła się bardzo interesująca i aktualna polemika w sprawie „ochrony“ polskiej twórczości dramatycznej. Znany krytyk i literat, p. Adam Grzymała-Siedlecki wystąpił pod adresem kierownictwa Teatru Narodowego z ciężkim a uzasadnionym zarzutem, że za mało uwzględnia twórczość polską, że wprowadza na repertuar pierwszej naszej sceny bezwartościowe ramoty obce (np. „Wyprawa kapitana Scotta“), podczas gdy dla utworów polskich, nawet znacznie wyższej rangi podwoje Teatru Narodowego są zamknięte. Wystąpienie swoje p. Siedlecki umotywował trafnie i dowcipnie: skoro stołeczne teatry miejskie (a więc i Narodowy) żyją z subwencji, na którą składa się grosz podatników, każdy z nich ma dobre prawo upomnieć się o to, by ten grosz, na cele teatralne składany, używany był w sposób pożyteczny i właściwy. Na całkiem słuszne pretensje p. Siedleckiego, odpowiedział kierownik literacki Teatru Narodowego, p. Zawistowski, tłumacząc się brakiem bardziej cennych dzieł we współczesnej dramaturgii polskiej i podnosząc, że — o ile w zakresie monumentalnego dramatu jest, naprawdę bogaci i ma wiele lat repertuarowych zapasów — w dziedzinie komedji za to zapasy są bardzo szczupłe, a różnica poziomu w porównaniu z naszą pozycją dramatyczną, monumentalną od razu staje się tragiczna.

Na to tłumaczenie się p. Zawistowskiego zareplikował obszernie p. Grzymała-Siedlecki, dowodząc m. in., że nie może być mowy o ubóstwie komedjowem w literaturze, mającej Fredrę, Korzeniowskiego, Fredrę - syma, Zabłockiego, Bogusławskiego, Bliźnińskiego, Bałuckiego, Zalewskiego, Kraszewskiego, Przybylskiego, Mańkowskiego, Abrahamowicza, Ruskowskiego, Dobrzańskiego, Zapolską, Kisielewską, Rittnera, Perzyńskiego, Szaniawskiego i in. — że cała sprawa polega tylko na tem, aby każda sztuka odpowiednio zainscenizować, by ją uczynić niejako mowa, co jest właśnie polem działania dla prawdziwego kierownictwa literackiego w każdym teatrze. „Wymależ sztuki, którą autor przesłał do wystawienia, albo wyciągnąć z biblijoteki Wyspiańskiego — pisze p. Siedlecki — to zdawać się część zadania.

Prawdziwe zadanie rozpoczyna się dopiero od nadania ducha sceniczności dziełom, które bez pomysłowości danego kierownika uchodziłyby za mieszczańskie“ I jako jeden z przykładów tej artystycznej pomysłowości, przytacza p. Siedlecki wielkie zasługi s. p. Józefa Kotarbińskiego w dziedzinie realizowania utworów naszej wielkiej dramaturgii, których wystawienie nazywane było dawniej „techniczną niemożliwością“. Ciekawe i doskonale argumentowane swoje wywody kończy p. Grzymała-Siedlecki następującą konkluzją: „Teatr Narodowy musi żyć niemal wyłącznie repertuarem polskim. Kierownik literacki musi się pod-



Uczestnicy wycieczki Międzynarodowego Kongresu Komunikacyjnego w Łodzi z przedstawicielami władz miejskich na czele po zwiedzeniu miasta i jego urzędów.

porządkować zasadzie teatru, nie zaś zasada teatru kierownikowi literackiemu. A najciepiej jedna i druga strona wychodzą, gdy niema podporządkowania, niema naginania się, lecz gdy zasada teatru schodzi się głowa w głowę ze szczerym kierownikiem literackiego entuzjazmem dla tej zasady...“ Mutatis mutandis możnaby to wszystko doskonale zastosować i do niejednego teatru poza Warszawą.

Dzięki inicjatywie dowództwa 20 p. p. „dzieci krakowskich“ i wydatnemu współudziałowi artystów Teatru im. Słowackiego, Kraków ma obecnie piękne widowisko ludowe, p. t. „Obrona Częstochowy“, odgrywane na dużej i otwartej przestrzeni, z udziałem tłumy, ubranych w historyczne kostjony statystów. Na ciemnym tle drzew wzniezione zostały dekoracje, skonstruowane architektonicznie, a przedstawiające klasztor na Jasnej Górze. W świetle reflektorów (widowisko odbywa się wieczorem) na murach klasztoru przesuwały się onszaki mnichów, żołnierzy i ludu. Bardzo piękne obrazy tworzą również wkroczenie wojska szwedzkiego pod mury klasztoru, zataczanie artylerji i wież oblężniczych i inne. Akcja widowiska przedstawiana jest w sposób pantomimiczny: całość ma dużą wartość widowiskowo-malarską, a takie np. momenty, jak walki pod murami klasztoru sprawiają niezatarte wrażenie. Reżyserem tej zasługującej na uwagę imprezy jest p. mjr. Schreyer, który kieruje olbrzymim zespołem widowiska z... budki telefonicznej.

Znany pisarz niemiecki, laureat nagrody Nobla, Tomasz Mann, zamieścił w jednym z czasopism bardzo ciekawe uwagi na temat rywalizacji teatru i kina oraz prawdopodobnych wyników tej walki. „Teatr — pisze Mann — jest praojczyzną wszelkiej duchowej zmysłowości i zmysłowej duchowości. Teatr — serce mocniej bić poczyna w wierzchołku radości i niepokoju. Jednak w obawie o teatr jest coś pogodnego i beztronskiego, to jest obawa o teatr jako czynnik krasomówczy. Jeśli chodzi o teatr, to kojarzy się

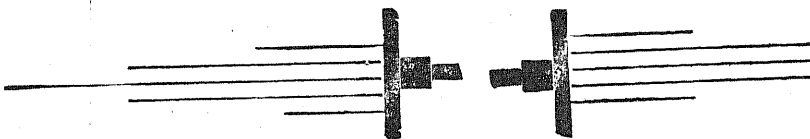
z jego pojęciem jakaś bezgranicznie głęboka, zmysłowa ufność, z jaką odnosimy się do życia i natury, a wszelkie rozumowanie o teatrze wydaje mi się rozumowaniem o życiu i naturze, to też obawa o istnienie teatru jest małodusznością. Można należycie oceniać urok kina, a jednak być dalekim od uznania jego współzawodnictwa z teatrem. Czy kino jest sztuka, to jest pytanie uczniewskie, ale jest sztuką epieczną i błędem jest mniemanie, że kino ma wogóle coś wspólnego z dramatem. Co się tyczy filmu dźwiękowego, to jeśli się wydoskonali po linii swego rozwoju, może się stać surogatem teatru. Czy film ten jest niebezpieczniejszy od niemego? Właśnie mniej, gdyż surogat nie może zastąpić pierwowzoru. — Dramatyczne warunki kina i teatru — kończy znakomity autor „Zauberbergu“ nie pokrywają się, dlatego muszą i będą oba istnieć obok siebie“...

W tych dniach ma się odbyć konferencja dyrektorów teatrów wiedeńskich, którzy będą zastanawiać się nad rozwikłaniem ciężkich trudności finansowych, w jakie popadły teatry w Wiedniu. Jednym z powodów tych trudności, jak twierdzą dyrektorzy i właściciele teatrów, mają być zbyt wysokie gazy, ustalone przez związek aktorów austriackich oraz przymus dawania przedstawień i w letnich miesiącach, gdy frekwencja jest bardzo niska.

Delta.



Artyści filmowi, Dolly Grey i Andre Mattoni, odtwarzają arcyimiłą parę aktorską w filmie p. n. „Tajemnica Pani Mary“.



Fragment z filmu p. n. „Cesarskie klejnoty“, obfitującego w liczne, niezwykle ciekawe momenty, cieszył się poważnym powodzeniem wśród kinomanów. W filmie tym główna rolę grał Lois Moran.



Janet Gaynor w dźwiękowym filmie p. n. „Moje Słoneczko“.



Liljiana Harvey ukończyła zdjęcia do pierwszej dźwiękowej operetki filmowej p. n. „Walc miłości“.



Najmilszy towarzysz jednej z córek multimilijardera amerykańskiego, Mac Cormick, młody, w niewoli wychowany słoń.

YVES FLORENNE.

Nowoczesna panna.

— Zaczynam!

Genowefa stała za siatką, dwoma palcami dotykając siłpa. Odwróciła się do Guy Bossis'a, który zbliżał się bez pośpiechu krokiem nonszalanckim i zlekka kofyszającym się, jakimś młodzieńcem ludzkiego towarzystwa pragnącym okazać swoją wzdargę dla wszystkiego, co ich otacza.

— Mamy ich! — rzekła.

Zamiast odpowiedzi, uderzył ją zlekka i żartobliwie.

Zgięła kolana.

Zadrwił:

— Cóż to? Tracimy odporność?

Wyprostowała się, wyciągając ku niemu szczupłą rękę, opaloną na kolor brązu, w której trzymała rakietę:

— Zobaczysz!

I dodała poufnie:

— Nicole jest pobita!

Biała piłka nisko przeleciała nad siatką, jak mewa, odbiła się, krzyżując swój lot, uleciała — w przestrzeń, powróciła, dwukrotnie uderzyła o ziemię i uniosła się znowu. Równie dokładnie, równie szybko i bardziej lotnie jeszcze, Genowefa gonila za nią, przerywając jej lot, odbijając ją i podchwytując znowu.

Przyjaciele podziwiali Genowefę, nietyko może za zręczność jej, ile za wszechstronność: poświęcała się wszystkim sportom z jednakową radością, a wyraz „poświęcenie“ nie był czczeniem określeniem tylko. Oddawała się ruchowi, podporządkowując mu technicznie swych płuc, bicie swego serca, wszystko życie swego jestestwa, w stałej pogoni za niedoścignionym i nieznanym celem. Mówiono o niej:

— Spójrzcie na nią! Jest stworzona do tego.

Nie pomyślano o tem, że nie była do tego „stworzona“, lecz może tylko „przymuszona“ przez tych, co tak mówili. Nikt się nie dziwił, że wątki jej ramiona i delikatne ręce zmieszczać mogły podobny wysiłek; nikt nie zdawał się widzieć, że było z jej strony zarazem monstrualnym wyczynem i bohaterstwem, że sprostać mogła grom i zabawom młodych atletów, swych towarzyszy.

Oni zaś, śmiejąc się, mawiali z przekonaniem:

— Jest zdumiewająca!

Zdumiewała wolą swą i dumą, a wobec tego, że nie zdradzała swego zmęczenia, przypuszczano, że siły jej nie mają granic.

Set miał się ku końcowi. Podczas, gdy partnerzy jej zbierali piłki, na chwilę jedną przygięła się, a dokoła ust zarysowało się zmęczenie. Jednak w chwili, gdy Guy powrócił do niej, wyprostowała się, uwydatniając piersi pod białą suknią i taniec piłek rozpoczął się znowu na czerwonym prostokącie kortu.

Nieco później wracali we czworo spadzi- stą dróżką wybrzeża, z rakietami pod pachą, zakietami niedbale zarzuconymi na pullover'y.

Guy zatrzymał się na chwilę, wyciągając papierosa i podał papierosnicę drugiemu młodzieńcowi i Nicole, która odmówiła. Genowefa rozejrzała się wokół, a widząc zbliżającą się grupę osób, wybrała papieros gipski i zapaliła go wyzywająco:

Zachowanie jej raziło nawet najbardziej pobłażliwe osoby. Pozostawiona niemal samej sobie, zarówno tutaj, jak i w Paryżu, podejmowała swych gości ośmielając się, gdy zbierali się u niej. Zebrania te ciągnęły się długo w noc i opowiadano sobie o nich wiele nieokreślonych rzeczy.

Chętnie dostarczała im plotek, a nawet je prowokowała, nietyko słowami, ile zachowaniem, dwuznacznym i zagadkowym, któremu jednak nie można było zarzucić braku przyzwolności.

Podobne zachowanie można było wytłumaczyć chęcią budzenia podziwu, zwracania na siebie uwagi, gdyby temu nie przeczyła jej inteligencja, jej lekka ironia i pewna chęć przesady, przesady gorzkiej i bolesnej, której nikt nie wyczuwał, choć wyrażała nią swoją rozpacz i wyzwanie wobec świata, jakby pragnęła z niego dźwignąć i mścić się na nim zarazem.

W hotelach dzwoniło na obiad.

Rozstali się w pośpiechu. Guy rzucił rakietę:

— A więc dziś wieczorem, Gilette? Zgodziła?

— Zgoda.

Dwie godziny potem jechali autem w kierunku Hawnu. Guy dziś jeszcze pragnął wypróbować swój nowy Trugatti i na drodze równej, dziwnie oświetlonej blaskiem latarni morskich, wśród łoskotu motoru, bez słowa, nie patrząc na siebie, mknął z zawrotną szybkością w bezmyślnym odurzeniu.

Skurcz zmusił Guy'ego do zwolnienia biegu i zniecałka znaleźli się pod urokiem ciepłej nocy letniej, ciężarnej zapachem kwitnących drzew, cichej i tajemniczej.

Guy znowu przyspieszył biegu i samochód popłynął jak łódź wśród łąk, na których jak białe plamy unosiły się zbudzone krowy.

Zniecałka widnokrag przed nim rozświetlił się, zajaśniał srebrzyście, zaszemrał. Morze! Bieg wśród przestrzeni sprowadził ich zpowrotem do Ebreit. Wysiedli. Stając się na nogach, Genowefa zachwiała się. Zmęczenie i powietrze obezwładniły ją rozkosznie. Przemogła się i skierowała ku morzu. Czuła to dziwne wzruszenie, które napadało ją niekiedy, gdy była sama, a znajdowało swoje ujście w niewyczerpanych awerwowych łzach. Niemal nie uswiadomiła sobie, że towarzyszył jej tutaj jej twarz w swoje ręce i zbliżył do swojej... Mgnienie

to wydało się jej krótkie i bezgranicznie długie zarazem, wspaniałe i niepospolite, jak jazda przed chwilą. Lecz i tym razem także wróciła do siebie. Zwolniła się z jego ręk, wskoczyła do samochodu i odjechała sama.

Gdy znalazła się w swoim pokroju, na łóżku, wtuliła głowę w obnażone ramiona. — Starala się nie myśleć, bo radość, jaka w niej powstała, rozsadzała jej piersi. Czuła dokoła siebie i w sobie szum potężny, jak wówczas, gdy płynęła przeciwko falom w morzu.

„Koniec! Koniec!... Koniec — tego strasznego, tak pustego życia!... Wszystko, co mówiono o niej... Ach! wiedziała najlepiej, że dziś był to raz pierwszy... Znała swoje przyjaciółki i czuła się dumna. Nieznany spokój spadł na nią. Nareszcie będzie mogła okazać swoją słabość... Słabość swoją. Pieściła się tym wyrazem... A więc Kochała go i, naturalnie, zostanie jego żoną... Marzyła o tem bez skrępowania i wstydu, jak zawsze marzą dzieci!...

Obudziła się szczęśliwa. Przed lustrem ogarnęła ją lekka, ale radosna trwoga. Jakże się to stanie? Jak ma się zachować? — Ach, miała przed sobą cały ranek. Wstała, by wybrać suknię na dzień dzisiejszy. Zapukała. Pozwoliła wejść, sądząc że to służąca.

Był to Guy. Spojrzała na niego rozszereżonymi oczyma, gdy wchodził. Wesoła, bez cienia zażenowania, rzekła:

— Przychodzę z dobrą nowiną...

Zatańczę ręce:

— Doskonałą nowiną!

A więc nadeszła chwila. Usiadła, spuściwszy oczy. Czekala, przechylona przez krawędź milczenia.

— Cóż to? Nie zgadniesz? A więc zapisaano ciebie do meczu w polu!

Doznała wrażenia, że jakaś struna pękła w jej sercu. A jednak czuła ulgę: nie miała jeszcze odwagi przemówić.

Podniosła oczy. Patrzył na nią z zażenowaniem. Przebiegł kilkakrotnie poprawił koltierz niezręcznym ruchem.

Wreszcie bąknął, zażenowany:

— A co do wczoraj, chciałem cię prosić, byś nie miała żalu do mnie... Przy naszych dobrych stosunkach koleżeńskich szkodaby było, dla takiego głupstwa...

Powiedz mi, że nie przywiązujesz do tego wagi...

Nie czuła bólu. Wewnętrzna burza zmiała wszystko, co w niej żyło. Ujrzała przed sobą krwawą plamę kortu, na którym umiała się opanować, gdy zmęczenie stracało ją z mógu. Na ustach jej pojawił się uśmiech męzny i smutny:

Oczywiście, niema obawy!...

Hum. L. M.



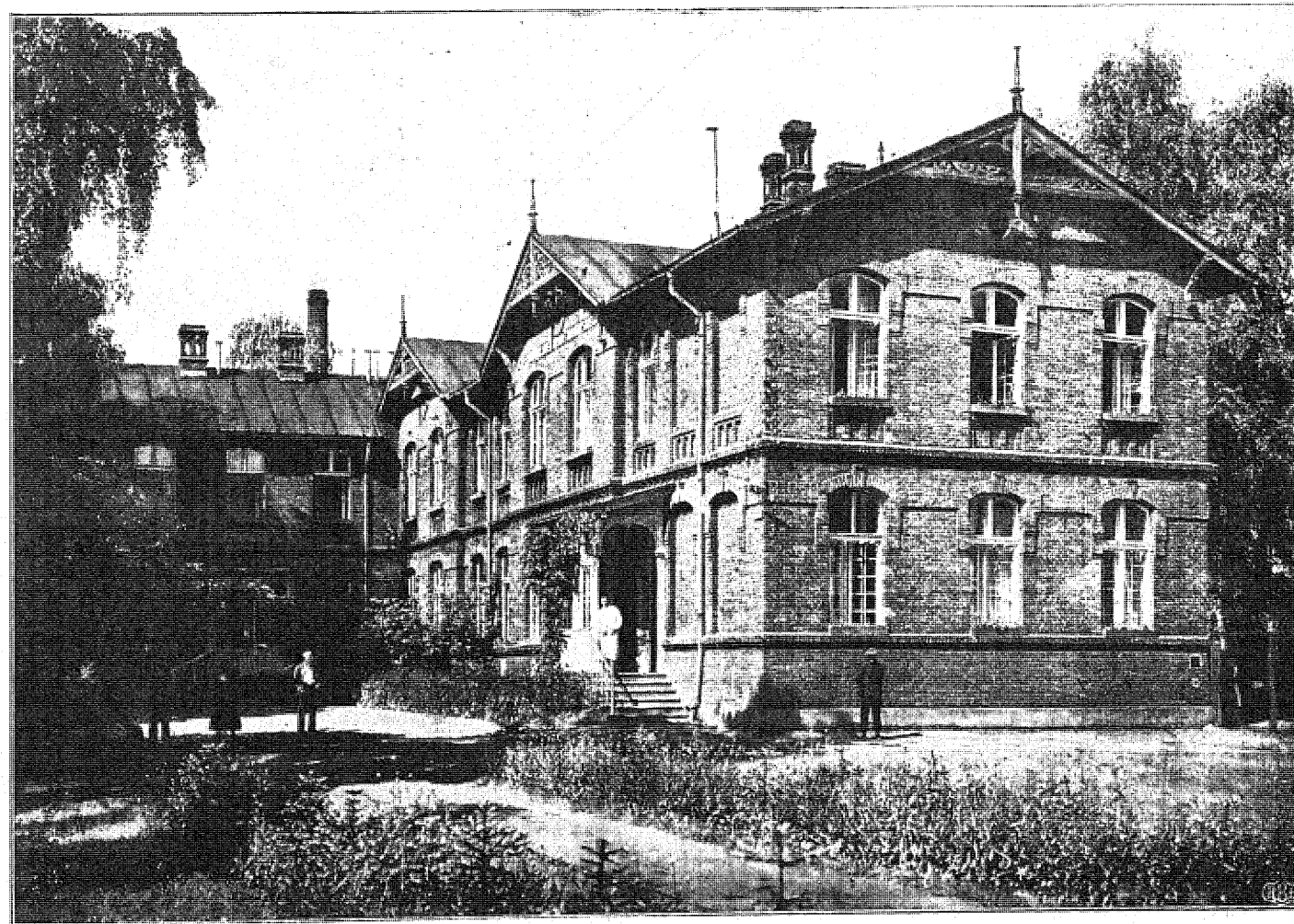
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Niedziela, 20 lipca 1930 roku.

Nr. 30.

Szpital dla umysłowo chorych w Kochanówku.



W pobliżu Łodzi, w miejscowości Kochanówek, istnieje od długiego szeregu lat lecznica dla najniebezpieczniejszych, dla umysłowo chorych, zwana powszechnie „Kochanówka“. W jej murach znajduje schronienie, przytulisko i pomoc lekarską 520 chorych umysłowo pacjentów, z których wielu powraca stopniowo do zdrowia, odzyskując świadomość rzeczywistości. Na zdjęciu powyższem widzimy fragment zabudowań szpitalnych, pawilon im. dr. Mikulskiego. Fot. Wł. Pfeiffer.